

Gdybym tylko mogła tego dotknąć, zapewne rozpierzchłoby się w powietrzu jak chmura tanich perfum. A jednak są momenty, kiedy wydaje mi się to solidniejsze od skały. Szukam w tym jakiejś szczególnej cechy, właściwości, która już od progu krzyczałby do mnie: spójrz, to przeze mnie, to ja nie pozwalam mu zaistnieć! Gdybyśmy wyprowadzali bowiem istnienie z istoty, jaka byłaby istota przedmiotu, który nie istnieje? I jeszcze: w jakim kontekście ontycznym ten przedmiot jest nieistniejący? Wiadomo przecież, że istnienie bezwzględne, niezależne od systemu, jest zwyczajną fikcją. W końcu coś może nie istnieć samodzielnie w przestrzeni i w czasie, a jednak być obecne w języku, w świadomości zbiorowej, wreszcie w samym tylko umyśle. Czy to gorszy stopień istnienia? Jeśli tak, to zapewne też lepszy nieistnienia.

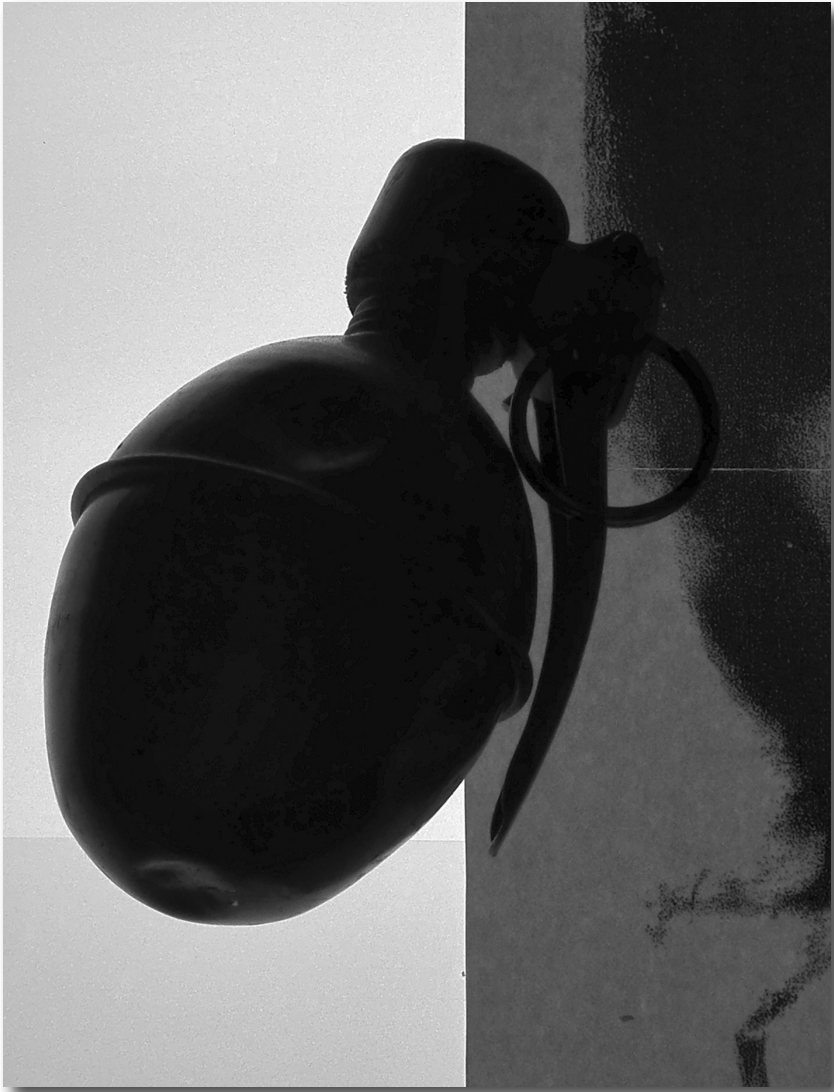
Lubię myśleć, że jest jednocześnie okrągły i kwadratowy, mokry i suchy, kłujący i gładki jak powierzchnia spokojnego jeziora. Przekładam sprzeczności jak warstwy tortu, na którego wierzchu lśni wisienka nieistnienia. Czerwona lampka alertu ontologicznego.

Próbuję wyobrazić sobie jego ciężar, ale uginam się pod wrażeniem lekkości. Zakochana w oksymoronach nie mogłam nie pokochać jego szczególnego statusu, tego zawieszenia pomiędzy być a nie być, między członami Hamletowskiego pytania, którego sens wreszcie zaczynam rozumieć. Nie chodzi bowiem o to, „czy” (jedno lub drugie), ale „jak” jednocześnie. W jaki sposób zawiesić się między istnieniem a nieistnieniem, by uciec przed konsekwencjami obu tych stanów? Może dopiero w tej szczelinie tkwi prawdziwa siła niebytu.

Gdybym twierdziła, że jest bezbarwne, zapewne oznaczałoby to, że poszłam na łatwiznę. Tak jakby kolory uzależnione były tylko od materii, twardej substancji, na której mogą się zaczepić jak pasożyty na żywicielu. Tymczasem mogłabym przysiąc, że od jego pstrokacizny bolą oczy. Jego zapach musi być intensywny jak odór moczu albo aromat skoszonej trawy. Wszystko zależy od tego, jaki rodzaj nieistnienia bliższy jest naszemu sercu. Usposobienie ma wpływ na wiele rzeczy, a już szczególnie na to, czego nie ma.

Próbuję wyobrazić sobie przedmiot, który zaprzeczałby wszelkim kryteriom istnienia, zarówno tym bezpośrednim, jak i pośrednim. Empirycznym, interpretacyjnym, eksplanacyjnym, a także kryterium konstruowalności. Zgodnie z tym ostatnim mój nieszczęśliwy obiekt musiałby być pozbawiony nawet modelu semantycznego, o matematycznym nie wspominając. Czy ostałoby mu się choćby odbicie w lustrze?

Być może to on i jemu podobne wypełniały nierozprzestrzonią przestrzeń i nierozpoczęty czas sprzed Wielkiego Wybuchu. Łapię się na tym, że zachowuję się jak Pseudo-Dionizy, próbujący opisać Boga w kategoriach teologii apofatycznej. I, jak Tertulian, wbrew rozumowi wierzę, że się da. W końcu jest absurdem.



Mirosław Jurczuk, *Gra*